

# Dygresje na temat kaloszy

Michał

**CHOROMAŃSKI**



Michał Choromański

## DYGRESJE NA TEMAT KALOSZY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-06-7

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1966

Projekt okładki: Marcin Labus

Za GRANICĄ można zaraz poznać naszych emigrantów po ich stosunku do kaloszy. Rozpatrzmy tę sprawę, choć przykro o niej pisać. Wynaradawianie się naszych zaczyna się zawsze od noszenia kaloszy. Najpierw je włożą, a potem tracą duchowe nici z Krajem. To fakt niezbity.

Wierny uchodźca, sercem w Kraju nadal przebywający, uważa – rzecz prosta – kalosze za coś kłócaącego się z polskością. Za moralną degrengoladę. Gdyby zaproponowano mu do wyboru: albo włożyć kalosze, albo stanąć pod kościołem z wyciągniętą dłonią –: wybrałby kościół. Nie chodzi oczywiście o chciwość i to grosiwo, jakie by przy tym zarobił. Chodzi o stopień poniżenia. Kalosze są obce naszemu duchowi, i uchodźca, z tych lepszych, nie będzie nimi deptał tradycji. Przepraszam, bo i jak to? Czy można sobie wyobrazić Szopena w kaloszach? A wielkiego Adama? Zapytajcie przechodniów. Każdy warszawiak odpowie: „Całe życie nie miałem kaloszy i bez kaloszy umrę. Raczej samą wodę będę pił, niż je włożę!” Ja sam, proszę państwa, mam do kaloszy taką dziedziczną abominację, że kiedy widzę je na polskich nogach, tracę panowanie nad sobą. Podporucznik Plusk Zawiły, o którym w związku z kaloszami chcę opowiedzieć, miał między innymi dość miłą narzeczoną, nieco piegowatą Szkotkę. Nasi uważali, że z powodu piegów i drobnych wyżłobień, jakie pozostały po wietrznej ospie, przypomina willę na Saskiej Kępie, jeszcze po bombardowaniu nie odremontowaną. Ale byli to przeważnie nasi z Rodziny Wojskowej, do której się nie zaliczałem. To oni skłonni byli do batalistyki w swych opisach. Mając prawe ramię nieco niższe od lewego, co uniemożliwia mi poprawne przywieranie policzkiem do kolby karabinu, i posiadając przeto kategorię E, nigdy do podobnych porównań nie byłem zdolny. Mnie osobiście twarzyczka panny Szejly nawet się podobała, bo na ogół lubię wszystko, co jest pstre, co jest wesołe i godzi z życiem. Ale Szejla, jako Szkotka, nie mogła strawić myśli, że jej narzeczony nie dba o podeszwy, które od wilgoci puchły i wyginały się do góry. Wiadomo, systematycznie moczona podeszwa, zwłaszcza tandetnego seryjnego wyrobu i zalatująca teksturą, nie wytrzymuje i dwóch tygodni chodzenia po kałużach. Tego skąpa panienska nie mogła darować swemu narzeczonemu, nawet jeśli był wielokrotnie w wojsku odznaczony. Wraz z rodziną jąła wywierać na podporucznika presję, żeby do kaloszy się przyzwyczaił i nagiął. Opowiadał mi o tym niemal ze łzami w oczach. Bez przesady! Gdyby przyszedł teść na tym się wyznawał, Zawiły byłby wyciągnął konsekwencje – konsekwencje, które się o to aż prosiły. Ale działa się to na obczyźnie, nie powiem tylko dokładnie w którym punkcie ziemskiego globu, gdzie na kodeksie honorowym wyznawali się tylko nasi emigranci. Poszedł więc do sklepu z kaloszami i przymierzył jedną parę. Wbrew sobie, ale żeby dogodzić kobiecie. Ma się rozumieć – od razu ogarnęło go uczucie wstydu. Brr, za nic nie chciałyby znaleźć się na jego miejscu. Uczuł, że po kostki grzęźnie w hańbie. Co pomyśleliby o nim nasi koledzy, gdyby przyłapali go na tym czynie. Trochę to jest dziwne, ale niespłacona pożyczka nigdy nikogo nie hańbi, natomiast kalosze zawsze, zawsze nas plamią. Mając je na nogach, doznajemy takiego zapaćkanego uczucia, że aż nie wiemy, gdzie spojrzeć. Dlaczego tak jest? Musi to być coś atawistycznego, ale powtarzam – rodak w kaloszach jest tylko na poły rodakiem. Tyle, jeżeli idzie o stronę uczuciową. Ale dlaczego w noszeniu kaloszy jest poza tym coś niehonorowego? Rozumem tego nie ogarniemy, bo rzeczy te płyną nam we krwi raczej, niż wynikają z logiki. Każdy z nas jednak łatwo pojmuje, co przeżywał biedny podporucznik. Popatrzył w dół i zobaczył na nogach czarną błyszczącą gumę. Zakłopotanie jego zmieszało się z goryczą. „Padam, padam!” – jęknął w duchu. Ale uczuł się na samym dnie dopiero w następnej chwili, gdy wydało mu się, że jest kobietą. Kobiecość wylazła z kaloszy. Z początku ogarnęła mu kolana, potem podniosła się wyżej i wreszcie zaczęła dobierać się do jego piersi. Wydało mu się, że ma pulchne ciało i jakiś obcy uśmiech na twarzy. Babski uśmiech. Och, przykro o tym pisać, coraz bardziej przykro! Wnet zrozumiał, że nogi jego są teraz karykaturą męskości. Potem uczuł jakby ból w sercu. Miał wrażenie, że ktoś na niego plunął. Potem ogarnęło go już coś całkiem niezrozumiałego, coś

jakby tęsknota czy nostalgia. Wtem ktoś nazwał go obraźliwym słowem z czterech liter, i wreszcie ocknął się z zamyślenia, czując się zupełnie bezwartościowym człowiekiem. Opisuję to wszystko tak dokładnie, bo kiedyś przy szklance piwa zwierzał mi się ze swych przeżyć szczegółowo. Nie boję się dłużyć – w literaturze nikt o kaloszach jeszcze nie pisał, mimo że jest to temat godny nie tylko całego rozdziału. Bo coś w nich jest, proszę państwa, coś jest! Ile staropolskiej rycerskości tkwi w naszych gościach, kiedy wchodzą do saloniku i zaczynają froterować podłogę szmatkami, specjalnie na ten cel przeznaczonymi. W każdym rodzimym domu takich szmatek leży w przedpokoju cała kupa. Elegancki gość wybiera sobie odpowiednią parę wielkości jego zabłoconych butów. Potem ustawia się na nich i przesuując zgrabnie nogami – w bok i naprzód, w bok i naprzód – obchodzi cały pokój, witając się z obecnymi i całując panie po rączkach. Ani jedna drobina błota nie spadnie na posadzkę, która przeciwnie, po takich wizytach lśni jeszcze bardziej. Ileż w tym troski o gospodynię, ile światowego szarmu! Czy można porównać to wytworne obejście, ten szyk i blask, ten – powiedziałbym – patos z prozaicznym przejściem jakiegoś cudzoziemca w kaloszach! Zwłaszcza jeżeli tym cudzoziemcem jest były rodak z Pipidówka, który dopiero niedawno przyjął obce obywatelstwo. Tfu! Ze zrozumiałą pogardą patrzymy, jak z początku lewą nogą opiera się o napiętek prawego kalosza, potem na odwrót i wreszcie z nich się wyzwała. Wchodzi do mieszkania bez żadnej fantazji i polotu, wywołując śmiech swymi suchymi wyczyszczonymi trzewikami. Śmiech, na który zasłużył.

Ale na szczęście emigracja, cokolwiek by się o niej mówiło, nie załamuje się na obczyźnie łatwo, i wierzę, że dotąd można spotkać wśród niej silne charaktery. Wierzę, że istnieją setki i setki prawdziwych rodaków, którzy nadal nie noszą kaloszy. Podporucznik Zawiły reprezentował właśnie ten typ. Siedzący przed nim w kucki subiekt sklepowy dopiero po dłuższej pauzie zrozumiał, że coś z jego klientem jest nie w porządku, że coś nie gra. Oczywiście, to coś było zupełnie niedostępne jego miernej umysłowości byznesmena. Ale zaniepokoił się stanem zdrowia podporucznika. „Co jest, na miłość boską! zawołał. Co się z panem stało, że pan taki czerwony?!” W jego głowie nie mogło się pomieścić, że każdy człowiek prawdziwie ambitny i któremu drogie jest jego nazwisko i familia, włożywszy kalosze, musi się zaczerwienić. Musi!

Było to na początku listopada, pewnego poniedziałku. Za wystawową szybą śnieg padał i od razu topniał, pokrywając chodniki czymś w rodzaju galaretki. Pamiętna data! Wtedy właśnie, w tym sklepie pełnym kaloszy męskich: głębokich i płytkich, oraz damskich botów: futrzanych i gumowych – zaszło między subiektem sklepowym a podporucznikiem małe nieporozumienie, które przemienić się miało z czasem w słynną na emigracji aferę Zawilego. Podporucznik przejęty i przybity kaloszami nie zauważył, że w słowach „Co się z panem stało, że pan taki czerwony?” kryć się mogło niebezpieczeństwo. Nie zauważył, że siedząca w innym kącie pani w jednym botku na nodze, zastygła przy tych słowach, mając drugą nogę – w samej tylko pończoszczce – wyciągniętą w powietrzu. Potem odwróciła głowę i popatrzyła na niego złym, zupełnie fosforyzującym spojrzeniem żarłocznej żmii, która wreszcie złapała ptaszka.

W ogóle nic nie zauważył. Zamiast z całą siłą zaprzeczać, zamiast krzyknąć do subiekta: „Jak pan śmie takie rzeczy mówić!” – nerwowym ruchem, milcząc, wyskoczył z kaloszy. Burknął co prawda potem „To moja rzecz!” ale taką odpowiedzią tylko pogorszył położenie. Do głębi kaloszami zde gustowany, myśląc tylko o nich, pośpiesznie opuścił sklep i, dopiero stąpając po galarecie na chodniku, trochę ochłonął. Buty pochlipowały, i czuł się już jak w domu. Z narzeczoną postanowił zerwać.

Minął wtorek, minęła środa. We czwartek podporucznik już zapomniał o swej niemiłej przygodzie. Zgodnie z Freudem, kalosze zostały stłumione w jego podświadomości. Organizm i cenzura moralna zadbały o to, żeby i sklep, i subiekt nie łączyły się z żadnymi

asocjacjami. Natomiast o fosforyzujących oczach klientki, przymierzającej botki, podporucznik po prostu nic nie wiedział, kiedy we czwartek wieczorem przyszedł do Domu b. Kombatantów. Odbywała się tam uroczystość z okazji imienin pewnego generała. Co się na takich uroczystościach dzieje, co się je i tańczy, nie mam czasu teraz opowiadać. Wspomnę tylko, że panie na podobnych przyjęciach przerastały same siebie. Przynosiły fantastyczne bigosy, nóżki w galarecie, różne śledziowe sałatki oraz ciasta własnego wypieku: strucle, faworki i inne stefanki. Palce lizać. Zwłaszcza pani Kwiatkowska wyróżniała się swymi makowcami. Niezwykle ucierała do nich mak, który pozostawiał w ustach wrażenie czegoś wprost nie materialnego. Jakby obcowało się z samym warszawskim Blicklem. Boże! niejedna emigracyjna łza spadła na makowce pani Zofii... Ale to mimochodem. Ważne było, że na tym hucznym wieczorku podporucznikowi powtórzono ni to plotkę, ni to sprawdzony fakt, dotyczący jego osoby. Osoby jak dotąd o nieposzlakowanej reputacji. Mianowicie niejaki inżynier Niedrygiewicz, wieloletni a nawet zasłużony uchodźca wojenny, miał rzekomo oświadczyć, że nie będzie siedział przy jednym stole z kimś, kto jest czerwony. Rzeczywiście, kiedy podporucznik zbliżył się do grona znajomych, inżynier ostentacyjnie wstał i to grono opuścił. Przesiadł się do stolika koło dętej orkiestry, grającej kujawiaka, i potem ani razu w stronę podporucznika nie spojrzął. Więcej, w pewnym momencie oparłszy się łokciem o stolik, w ogóle odwrócił się doń tyłem.

Podporucznik na tym wieczorku miał trochę w czubie. Piwo w połączeniu z wiśniówką działało nań raczej otępiająco, jeżeli nie anestetycznie. Całe szczęście, bo Bóg wie, co by się w przeciwnym razie stało. Zacisnął tylko wargi. Wiedział, że pod gazem spraw honorowych lepiej nie załatwiać, bo gaz zaciemnia postępowanie stron. „Ja mu pokażę! szepnął. Niech tylko zaczeka!” Ale zamiast odsunąć kufel, podniósł go odruchowo ku wargom. To od razu pogłębiło anestezję i podporucznika jeszcze przed północą zawieziono taksówką do domu, obojętnego na wszystko, jak kłoda. Ludzka rzecz. Ale śpieszę zaznaczyć, że są kłody a kłody.

Nazajutrz gdy obudził się z rana, podporucznik najpierw wypił szklankę maślanki, bardzo w tym mieście popularnej, potem powiedział do siebie wyrozumiale: „Ależ się, brachu, popiło!” i dopiero później podskoczył na łóżku, bo naraz przypomniał sobie, co mu powtórzono o Niedrygiewiczu. Kto mu to jednak powtórzył – tego ani rusz przypomnieć sobie nie mógł. Nie wiadomo, dlaczego, to było też stłumione w podświadomości. Grono, w którym wczoraj przebywał, składało się co najmniej z dwudziestu osób. Niemal gubiąc pantofle pobiegł tedy gorączkowo do telefonu, wiszącego na korytarzu, ale w porę się rozmyślił i odłożył słuchawkę. Nie wypadało zapytywać każdego po kolei: „Czy to pan wczoraj powiedział, że Niedrygiewicz nie chce siedzieć przy stoliku ze mną, ponieważ jestem...” Nie! takich rzeczy nie mógł nawet wypowiedzieć, zwłaszcza przez telefon. Okropne położenie.

Przerwę na moment. Respekt, jaki czuję dla mundurów wojskowych, poniekąd mnie paraliżuje. Doznaję jakby drętwienia w stawach. Wstrzymywałem się od opisu powierzchowności Zawilego, sądząc że lepiej trzymać się od niej z daleka, bo można niechcący oberwać i wojskowych zmobilizować przeciwko sobie. Wolałem poprzestać na wglądzie w jego duszę i na freudyzmie... Ale cóż, kiedy nie samym Freudem człowiek żyje – bez znajomości fizysu człowieka nie można też stąpić ni kroku. Istnieje nawet teoria kretschmerowska, która mówi po prostu: Powiedz mi, jaką masz gębę, a powiem, kim jesteś! Natomiast psychoanaliza o fizycznej aparycji akurat ani mru mru. Bywa wręcz dezinformująca.

Państwo natomiast słysząc, że wciąż powtarzam „Podporucznik to i podporucznik tamto!” mogli niesłusznie sobie wyobrazić, że mamy do czynienia z młokosem, który dopiero opuścił podchorążówkę i może jeszcze się nie goli. A tak nie było. Przed telefonem na korytarzu, w swej niebieskiej piżamie w szerokie pomarańczowe pasy, stała zgoła dojrzała

osoba honorowa – że użyję tego fachowego w sprawach czci terminu. Nie był to żółtodziób z puszkami nad wargą i różowymi policzkami, o nie!

Tam i ówdzie dziwiono się: Jak to? Będąc zawodowym i prawie czterdziestoletnim oficerem, wciąż pozostawał na tym samym początkowym szczeblu podporucznika? Jakże to możliwe? – A nie wiem. Ale opowiem pewien fakt, który, być może, rzuci na to trochę światła.

W tym samym pensjonacie co Zawily, dosłownie za ścianą, mieszkał stary kawaler, jegomość szkockiego pochodzenia, mający kotkę imieniem Pussy. Nawiasem mówiąc, nieznośna, nerwowa kreatura, o bardzo nierównym usposobieniu. Niekiedy włąziła każdemu na kolana, pozostawiając na nich całą sierść, niekiedy zaś tygodniami wysiadywała na szafie. Otóż któregoś dnia Pussy widocznie się przeziębila, bo zaczęła kichać. Zdawałoby się, co w tym dziwnego, że kotka kicha, niech sobie kicha na zdrowie. Jegomość jednak był bardzo do niej przywiązany. Zaznaczę też, że należał do partii liberałów, i jako taki nigdy nie cieszył się względami naszego podporucznika. Nie odpowiadał ani ultra narodowym jego gustom, ani zawężonym społecznym horyzontom. Narzuciwszy na ramiona kraciasty szkocki pled, wysoce podniecony i z najeżonym białym wąsikiem na rumianej twarzyczce, staruszek zapukał do drzwi sąsiada. „A o co chodzi?” spytał Zawily. Liberał, błagalnie nań spojierając, coś zaczął szwargotać i naraz cicho miauknął: „Miau!...” Podporucznik, który szczerze i z całego serca gardził obcymi językami, nic z tego nie zrozumiał. Dla niego wszyscy cudzoziemcy, zamiast mówić po ludzku, zawsze jednakowo miauczeli. Zresztą, niedawno dopiero przyjechał z Włoch, i wciąż, ażeby porozumieć się z przechodniami, posługiwał się kieszonkowym słowniczkiem. „No capisco!” powiedział. Ale kiedy liberał, przestawszy miauczeć, nagle dodał: „Apsik, apsik!” – Zawily domyślił się, że prawdopodobnie tu chodzi o kotkę, której kichnięcia słyszał za przepierzeniem przez cały wieczór. „Pussy?” spytał. Staruszek z początku kiwnął głową, a potem pokręcił nią przecząco, i wzniosłszy ramię, skierował wskazujący palec na podporucznika.

Takie wzniesione ramię i sterczący wskazujący palec widzimy zazwyczaj na napisach: Wyjście lub Wejście. Widocznie liberałowi podporucznik wydawał się jedynym wyjściem z sytuacji. Widocznie zmienił poglądy na bardziej konserwatywne. „Tu musi być jakaś ciemna sprawka!” pomyślał nieufnie podporucznik. Dopiero gdy obaj zaczęli szperać w słowniczku, raptem całe qui pro quo się wyjaśniło. Ale co za makabra! Bo okazuje się, że stary kawaler wziął podporucznika za weterynarza. Nie ma co, bardzo przykry incydent.

Lecz bądźmy szczerzy: podporucznik z wyglądu był trochę niepokąźny. Proszę mieć także stale na uwadze, że wyszedł był wówczas na korytarz w samej tylko piżamie. To dużo znaczy. Był średniego wzrostu i wszędzie równomiernie szczupły, z wyjątkiem, być może, miednicy, nieco damskiej. Czy koniecznie jednak weterynarz musi być tak zbudowany – wolno każdemu się sprzeczać. Kwestią otwartą pozostaje także twarz. Twarz podporucznika była w ogóle cokolwiek zdziwiona. Właściwie na co dzień wyrażała nie wiadomo dokładnie co. Bardzo często, gdy nań patrzyłem, drapałem się tylko w głowę. Przypominała skądinąd twarz pasażera, który ulokowawszy się w przedziale drugiej klasy, dowiaduje się od konduktora, że wsiadł nie do tego pociągu i nawet jedzie w przeciwną stronę. Widziałem kiedyś takiego pana na linii Warszawa-Gdynia i za nic nie podejmuję się jego twarzy opisać. Ale z całą pewnością wiem, że nie był weterynarzem, bo słyszałem, jak krzyczał: „Pan nie wie, z kim mówi! Oto moja legitymacja służbowa! Jestem dyrektorem spółdzielni i jadę służbowo na ogólnokrajowy zjazd wikliniarzy w Kielcach, a pan mnie wiezie do Koszalina! Jakim prawem!”

Ciekawym, co na to Kretschmer? Bo, owszem, damska miednica dowodzi szczególnej wrażliwości psychicznej. Owszem, lekkie podobieństwo do weterynarza świadczyć może od biedy o niektórych animalistycznych porywach. Ale twarz? Czy fizjonomia wyrażająca zdziwienie i nie wiadomo co dowodzi, że i dusza jest nie wiadomo czym? Tu można z

psychologami się nie zgodzić. Przypuszczam jednak, że państwo już mają przed sobą dość wierny portret podporucznika.

Wciąż jeszcze stał w swej rozterce koło telefonu. Kto mógł mu pomóc w tej chwili. Oczywiście nikt, tylko... I tu podporucznik przypomniał sobie o kimś. „Nikt, tylko Boziewicz!” szepnął tedy i wreszcie się na coś zdecydował. Szarpnął ramieniem – prawym naprzód! – i mimo że wciąż był w piżamie, bardzo wojskowym krokiem ruszył w stronę swego pokoju.

„Boziewicz!” powtórzył, śpiesznie się ubierając, bo nie mógł spóźnić się do fabryki, w której pracował.

W pokoiku jego (mniejszym nawet niż nasze) stało łóżko z niedbale rozrzuconą kołdrą i zgniecionym prześcieradłem, leżącymi każde z osobna. Na takie zwykłe kulturalne udogodnienie jak koperta do kołdry cudzoziemcy jeszcze nie wpadli. Tuż obok stała lampa z abażurem zawieszonym na bakier. Za nią fotel o złamanej sprężynie oraz stolik tak niskich rozmiarów, że po prostu wydawał się podstawką do kwiatów. W tym kraju – kto go wie, dlaczego? – nie tylko że w trzeciorzędnych pensjonatach, lecz i w zamożnych prywatnych domach, nigdzie nie widziałem porządnego męskiego biurka. Najwyżej w sypialni damskiej można było spotkać toaletkę w kształcie miniaturowego biureczka z lustrem. Panowie, jeżeli musieli napisać do kogoś list, pisali go po prostu na kolanach. Natomiast fotel Zawilego odziany był w niegustowny, kwiecisty pokrowiec: różowe słoneczniki z liliowymi liśćmi. Te same seryjne pokrowce spotykałem w wielu innych miejscach. A nawet później na wyprzedzący zmuszony byłem kupić sobie jeden identyczny dla fotelu, który u mnie stał pod oknem i którego siedzenie już szwankowało.

Podporucznik usiadł na łóżku i nerwowo wkładał spodnie. Miał katzenjammer i uczucie, że coś się w jego życiu stało ohydne.

Za oknem zaś rozpościerał się jednostajny, wielkowiejski pejzaż. Składał się z białej mgły i jednej czarnej, gołej gałązki, pokrytej ze wszystkich stron lodem. Gałązka z lekka się kiwała, widać że na dworze był wiatr. Smutny, typowo emigracyjny widok.

Tak to wyglądało z głębi pokoju. Gdy się jednak podeszło do parapetu – przez poranną mgłę przezierały nie wygaszone reklamy świetlne. Olbrzymia malinowa butelka, z której lała się coca-cola wprost na dach sąsiedniego domu; cytrynowa filiżanka, w której pogrążała się dziesięciometrowa łyżeczka skrzęcej się kawy neska; seledynowy profil kobiety, myjącej sobie głowę szamponem, nad kopułą pobliskiej łoży masońskiej. Rozmaite napisy, pionowe i poziome, w rodzaju: „Przyjdź do nas, a uleczyliśmy cię od nagniotków!” lub: „Dystyngowani ludzie palą tylko papierosy Camele!” Nawet, za przeproszeniem, świeciła się czyjaś ręka, trzymająca za ucho coś w rodzaju dzieciennego nocniczka. Co znaczył, nie wiadomo, bo niektóre litery napisu nie funkcjonowały tego rana i można było jedynie przeczytać: „Sam i tylko sam... wz... lepsz...” To wszystko nieustannie mrugało na tle zamglonego nieba, na wskroś cudzoziemskiego i nie mającego najmniejszego pojęcia o ludzkim honorze. „Boziewicz!” znowu wymówił podporucznik.

Ale kogo miał na myśli, powtarzając to nazwisko? Na to byle jak odpowiedzieć nie sposób. Temat jest zbyt ważki. Będzie to więc cała opowieść.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI